

# Jeszcze się spotkamy, redaktorze...

Maciej Rosalak

Weryfikacja dokonana w stanie wojennym przyniosła mi największe upokorzenie i przygnębienie, jakie przeżyłem w zawodzie dziennikarza.

**E**sbecy przyjechali po mnie raniem w Trzech Króli. Na choince paliły się świeczki, a pod drzewkiem bawiła się moja córeczka. Funkcjonariusze uśmiechali się grzecznie, czekając, aż się ubiorę. Jeden z nich miał uśmiech wprost promienny; w jego złotych zębach odbijały się choinkowe światełka i Karolinka była zachwycona. Potem zśliśmy w słoneczny, mroźny dzień zimowy do ich samochodu stojącego pod osiedlowym śmietnikiem na Ursynowie. Nie skuli mnie, nie popychali – i tylko może przypadkiem tak się złożyło, że oni byli po bokach i trochę z tyłu.

Sąsiad wracał z pustym kubłem od śmietnika i zdziwiony patrzył na tę formację. „Cześć, Andrzej!” „Cześć, Maciek!” – i poszedł dalej. Nie zatrzymał się, jak zwykle, na pogawędkę. Nie spodziewałem się wprawdzie żadnych tortur ani osadzenia w więzieniu, a jednak to w tym momencie odczułem różnicę między człowiekiem mającym swobodę wyboru i jej pozbawionym.

Na korytarzach gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Rakowieckiej zaskoczył mnie ruch jak na Marszałkowskiej. Wśród ludzi w mundurach i po cywilnemu moją uwagę zwrócili szczególnie ci, którzy zapewne tego sobie nie życzyli. Byli to młodzi mężczyźni ubrani tak zwyczajnie, jak ubierali się wtedy początkujący pracownicy umysłowi lub fizyczni czy nawet studenci. Futrzane czapy, kurtki lub sak-palta, dzinsy. Pomyślałem: szpicle.

W pokoiku, do którego wprowadzili mnie konwojenci, siedział oficer Służby Bezpieczeństwa, którego ja i wszyscy moi koledzy poznaliśmy dwa, trzy tygodnie wcześniej podczas weryfikacji w Wydawnictwie „Epoka”. On także był bardzo uprzejmy. Zaproponował zdjęcie marynarki i sam zjął swoją. I tak, niby przypadkiem, zobaczyłem skórzany pas biegnący mu przez ramię i plecy. Do pasa przytroczona była kabura, z której wyglądała kolba rewolweru, krótkolufowego bębenkowca. Niby przypadkiem posadzony zostałem na wprost okna, przez które niemiłosiernie świeciło słońce, a kiedy odwracałem oczy, wzrok cieszyły trofea – plakaty i kalendarze Solidarności z obrabowanej siedziby Regionu Mazowsze.

Rozmówca wytworzył nastrój. Przystąpił nieco okno („o, widzę, że pan redaktor oczki mruży”), poczęstował lurą udającą herbatę i przedstawił się jako Arek Iwanicki, kapitan. A potem w ciągu półtorej godziny tak prowadził rozmowę, jakby chciał zdawać na studium dziennikarskie i zostać redaktorem gazety. Ile znaków wchodzi na stronę maszynopisu, a ile stron na złamaną kolumnę, co to jest *petit*, a co *colonel*, co należy do obowiązków sekretarza redakcji, a co do kierownika działu oraz naczelnego i jego zastępców. Opowiedziałem mu o całym (skądinąd naprawdę zajmującym, a dziś, w epoce komputerów całkiem zapomnianym) procesie produkcji w drukarni, od składu na li-

notypach, przez łamanie, kalander, po stereotypię i wreszcie rotację.

Czerwone światełko zapaliło mi się w mózgu przy pytaniach o tematykę podejmowaną przez poszczególnych dziennikarzy. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, do czego dąży, a i on chyba zdawał sobie sprawę z tego, że sobie zdaje sprawę. Wyjął więc notatnik i odczytał z namaszczeniem swoje o mnie spostrzeżenia z rozmowy przed komisją weryfikacyjną. Sprowadzały się one mniej więcej do tego, że jestem „blondynem, karnacji jasnej, opanowanym, odpowiadającym zdecydowanie i bez lęku”. Czytaj: nie-Żyd, nie nasz, może być nasz.

I wreszcie: „Chcielibyśmy zaproponować panu redaktorowi, aby został naszym konsultantem do spraw Stronnictwa Demokratycznego”. Zobaczył chyba grymas na mojej twarzy, bo dodał szybko: „Będziemy się spotykać w kawiarni albo w prywatnych mieszkaniach – nikt pana nie będzie podejrzewał...”. „Wie pan co? – odpowiedziałem. – Chodzi o to, że sam siebie będę podejrzewał!”

Na to zmienił ton i z groźbą w głosie rzekł: „No to zobaczymy, jak pan na tym wyjdzie. Jeszcze się spotkamy, redaktorze...”

„Jeszcze się spotkamy, redaktorze...” – dokładnie tak samo powiedział tydzień wcześniej po rozmowie weryfikacyjnej w „Epoce”. Kiedy to usłyszałem, natychmiast – choć nikt mnie tego nie uczył – poszedłem specjalnie do redaktora naczelnego, który sam nie krył związku z resortem i miał w szufladzie pistolet, i powiedziałem mu o tej niepokojącej dla mnie zapowiedzi. Do dziś myślę, że naczelny miał dwie dusze, które walczyły ze sobą o dominację nad nim. Tym razem zwyciężyła ta jaśniejsza, bo cicho, żeby nikt nie usłyszał, udzielił mi rady: „Jak nie mają na ciebie

/obecnie internowana - wnioski zostaną sformułowane w terminie późniejszym/

/komisja proponuje rozwiązanie umowy na jej własną prośbę, wskutek wygaśnięcia terminu urlopu wychowawczego/

WNIOSKI KOMISJI WERYFIKACYJNYCH DZIAŁAJĄCYCH  
PRZY KOMORKACH STATUTOWYCH PIONU ARTYSTYCZNEGO

Ja \_\_\_\_\_, zrodzony \_\_\_\_\_, syn \_\_\_\_\_, urodzony \_\_\_\_\_, działający ze służbą Wywiadowczą PRL w czasie \_\_\_\_\_, nia. Moje współdziałanie polegające na \_\_\_\_\_ będzie na: \_\_\_\_\_

haka, to mogą cię w d... pocałować!”.

Na wszelki wypadek o spodziewanej wizycie SB powiedziałem jeszcze kilku osobom, więc kiedy pan kapitan chciał mojego podpisu na oświadczeniu, że zachowam rozmowę w MSW w tajemnicy, powiedziałem mu, że wie o niej przynajmniej dziesięciu kolegów w redakcji, a żona po ich wyjściu powiedziała kolejnym dziesięciu sąsiadom. Stropił się nieco, ale zdołał mi wetknąć kartkę ze swoim telefonem: „Jak pan redaktor zmieni zdanie, to niech zadzwoni...”.

Odruchowo wziąłem karteczkę. Kiedy wyjąłem ją po godzinie, szczegółowo zdając relację żonie, powiedziała: „Dawaj ją natychmiast!”. Od razu ją spaliła, a ja byłem jej wdzięczny, bo poczułem ulgę i opadło ze mnie jakieś takie dokuczliwe przygnębienie, niechęć do życia i obrzydzenie, które narastało we mnie od niedzieli 13 grudnia. Wiele nieszczęść spadło wtedy na polskie rodziny i nie zawsze mogły temu sprostać. Ale liczne małżeństwa odżyły w chwili próby.

„Epoka” wydawała w Warszawie „Kurier Polski”, „Tygodnik Demokratyczny”, „Rzemieślnika”, a w Bydgoszczy „Ilustrowany Kurier Polski”. Dwa pierwsze tytuły należały do ścisłej czołówki pism patrzących władzy na ręce, popierających solidarnościowe przemiany i walczących z cenzurą. Warto przypomnieć, że po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego właśnie w „Epocie” dokonano pierwszej weryfikacji dziennikarzy i była ona najbardziej dotkliwa. W „Kurierze...” do 20 grudnia wyrzucono czternastu, a zawieszono siedmiu dziennikarzy,

tuż przed końcem roku zaś w „Tygodniku...” – dziesięciu. Trzecią część zatrudnionych.

W składzie komisji weryfikacyjnej byli: prezes „Epoki” (zarazem wiceprzewodniczący Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego), szef pionu prasowego SD, administrator i jednocześnie od 13 grudnia „komisarz” wydawnictwa, wicedyrektor cenzury, funkcjonariusz SB, pułkownik z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, pracownik wydziału prasy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i protokolant. Lista wyrzuconych była z góry przygotowana przez towarzyszy z PZPR i SB. Jak się dowiedziałem znacznie później, Stronnictwo wybroniło tylko dwóch dziennikarzy: Staszka Krupę (byłego żołnierza batalionu „Zośka” i autora drukowanego przez „Kurier...” w odcinkach „X Pawilonu”, zawierającego opis terroru komunistycznego, który rozwścieczył towarzyszy) – oraz mnie. Wcale nie byłem i nie jestem za to wdzięczny.

W końcu stycznia 1982 roku („Tygodnik...” nadal był wtedy zawieszony) naczelny zlecił mi napisanie samokrytyki: co złego uczyniło pismo w ciągu szesnastu miesięcy Solidarności. Odparłem, żeby pisał ten, co się poczuwa do błędów, bo ja się nie poczuwam. Usłyszałem, że mogę już szukać pracy gdzie indziej; tym razem ciemna dusza naczelnego wzięła górę. Tak się złożyło, że

tego samego dnia doznałem skomplikowanego złamania nogi. Wcale nie zawiązało ZOMO, tylko brak solidnych butów zimowych, których nigdzie wtedy nie można było kupić. Trzy miesiące miałem nogę w gipsie oraz święty spokój.

Upokorzenie i przygnębienie – to uczucia, które jak jakaś czarna sadza, dusząca i zalepiająca oczy, spadły na społeczeństwo polskie 13 grudnia 1981 roku. Tyle razy i przy tylu okazjach rodacy dzielili się już swoimi przeżyciami po wprowadzeniu stanu wojennego, że daruję sobie wielokrotnie powtarzany „szok” i zaskoczenie z powodu wozów pancernych na ulicach, głuchych telefonów i pozabawienia dzieci telewizyjnego Teleranka.

Na pewno skrupulatnego zapisu i utrwalenia wymagają świadectwa tych, którzy przeżyli naprawdę dramatyczne chwile nocnych aresztowań, ucieczek, ukrywania się. Zwłaszcza prostych robotników z zakładowych komisji Solidarności, szczególnie poniewieranych, o których – w przeciwieństwie do znanych postaci – nie upominali się zachodni dziennikarze i politycy. To, o czym piszę, ma się nijak do tragedii górników z kopalni „Wujek”. To tylko relacja jednego z ówczesnych dziennikarzy, którzy mieli przed ośmioosobową komisją udowodnić, że nie są wielbłądem, a następnie zostać jeszcze bardziej poniżeni w MSW przy Rakowieckiej propozycją zostania kapusiem. ❀

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w grudniu 1981 roku sekretarz redakcji „Tygodnika Demokratycznego”, działacz SD i członek NSZZ „Solidarność”

/komisja proponuje  
przeniesienie do pracy w komórce statystycznej w Biurze Planowania i Emisji/

/ostateczny wniosek został sformułowany po rozmowie - w/w przebywa za granicą/

/komisja proponuje rozwiązanie umowy o pracę na pół etatu